

Wielkanoc na Azorach.



Odwiedzenie Azorów chodziło mi po głowie od jakiegoś czasu aż wreszcie przyjaciele powiedzieli – nie kombinuj tylko zorganizuj. Chętnych było jak zwykle na początku sporo ale poszukiwania wystarczająco dużego jachtu spęzły na niczym. Czarterowni tam niewiele i raczej nie trzymają tam pięćdziesiątek. Stało zatem na dwóch 41 stopowych bavarkach i pozostał casting na drugiego skipera. Paweł zgłosił się nieśmiało zatem uznałem, że wstępne podchody zostały ukończone. Zdecydowaliśmy się na termin od 9 do 23 kwietnia

Samolot z przesiadką w Lizbonie wysadził większość z nas w Ponta Delgada wczesnym popołudniem i z lotniska przetransportowaliśmy się do hostelu Pa Dereito. Sale były wieloosobowe z

piętrowymi łózkami. Andrzej z Hanią przylecieli nawet wcześniej. Hostel tani i godny polecenia. Zdążyliśmy jeszcze na spotkanie w wesołej knajpce na tej samej ulicy. Na jacht przenieśliśmy się dopiero w sobotę.

Normalnie wyszlibyśmy w morze następnego dnia rano ale wiało jak w kieleckim więc zdecydowałem dać się wiatrowi wydmuchać. Następne dwa dni poświęciliśmy lądowej turystyce. Najpierw do Fumas. Rozległa kaldera z jeziorkami i miejscami gdzie wydobywa się gorąca, śmierdząca siarkowodorem para. Są tam wydrążone studzienki w których gotowane są potrawy z kilku gatunków mięsa. Zatem, po obejściu kaldery odszukaliśmy knajpkę w której serwowane są te wulkaniczne potrawy. Warto było spróbować. Następnego dnia wybraliśmy się do wulkanu Siete de Ciudades na zachodnim skraju wyspy. Na dnie dwa spore jeziora, jedno zielone drugie błękitne. Może przy słonecznej pogodzie bo dla nas obydwie były szare. Spory spacer krawędzią kaldery później strome zejście na dno gdzie wyszukaliśmy knajpkę ze szwedzkim stołem. W ten sposób przymusowe wstrzymanie wypłynięcia nie było zmarnowane.

Wreszcie we wtorek 12 wiatr sfołgował i odszedł na SSW co stworzyło korzystne warunki do żeglugi na Tercerę. Wyszliśmy z portu o 0800 i po wysunięciu się z zatoki postawiliśmy żagle. Wiatr 16 węzłów stopniowo się rozkręcał i wieczorem trzeba było się zarefować. Do Angra de Heroismo dotarliśmy jeszcze przed świtem, ale

nie zdecydowałem się wchodzić do nieznanego portu po ciemku i żwawym dopychającym wietrze. Ostatecznie do portu weszliśmy dopiero o 0800. Na logu zebrało się 115 mil. Moi ambitni załoganci nie odpuścili, czwartek został poświęcony na wycieczkę do Misterio dos Negros. Tym razem trasa wokół kaldery nie była łatwym spacerkiem i wiodła na przemian błotnistymi ścieżkami wokół niewielkich jezior, czasem zaopatrzonych drewnianymi kładkami, to wspinaczką po blokach lawy i wreszcie przez nie mający żadnej ścieżki las. Chwilami wątpiłem, czy dobrze zrobiłem wybierając się na tę wycieczkę. Ale widoki warte były wszelkich trudów. Na koniec większość ekipy poszła zwiedzać Grota de Natal czyli wulkaniczną jaskinię. Ja z paroma osobami odpuściłem, bo wyraźnie zmarzłem więc wróciliśmy na jacht.

W piątek 15 kwietnia o 0900 opuściliśmy zaciszny port w Angra do Heroismo i ruszyliśmy w kierunku nowego celu, którym była wyspa o pięknej nazwie Graciosa. Etap mieścił się w granicach 50 mil. Problemem był fakt, że na Graciozie nie ma portu jachtowego. Wprawdzie dostaliśmy ulotkę opisującą sporą marinę koło miasta Santa Cruz da Graciosa ale w rzeczywistości był tam tylko wybudowany falochron zatem pozostał nam rybacki porcik Praia w którym żeglarze są zaledwie tolerowani. Paweł na Urze tym razem nas wyprzedził więc rzucił kotwicę pod osłoną zewnętrznego falochronu a ja ostrożnie wsunąłem się do portu. Według mapy powinno tam być 3 – 5 m ale echosonda alarmowała o 20 cm. W porcie stały dwa jachty i znalazłem jeszcze dwa miejsca przy pływającym pomoście. Po zacumowaniu wezwaliśmy Urze do portu.

W sobotę rano odwiedzili nas dwaj policjanci prosząc by zameldować się “no rush” z dokumentami w domku z zielonymi okiennicami. Młodzi eksplorery wyruszyli odkrywać kolejny wulkan a my zwiedzaliśmy senne miasteczko/. Wizyta w domku z zielonymi okiennicami skończyła się długą, przyjacielską pogawędką. Przy okazji zapoznaliśmy się ze szwajcarską załogą jednego z jachtów, która później przez kilka dni żeglowała razem z nami. Ciekawostką jest fakt, że był to jedyny z odwiedzonych podczas rejsu portów, w którym toalety były otwarte okrągłą dobę.

Świtkiem 17 kwietnia wyruszyliśmy z portu i najpierw skierowaliśmy się prosto pod wiatr czyli na NW aby okrążyć wyspę. Miałem ochotę zaglądnąć do tej wciąż budowanej mariny ale kipiela na falochronie definitywnie mnie z tego pomysłu wyleczyła. Dalej z wiatrem w plecy wojowaliśmy z grymaśnym fokiem który za nic nie chciał pracować “na motyla”. Najpierw minęliśmy zachodni przylądek nękaney trzęsieniami ziemi wyspy Sao Jorge i wreszcie popołudniu dotarliśmy w okolice Horty na wyspie Fajal. Osłonięci wysokim brzegiem od wiatru i fali sprzątnęliśmy żagle, wyłożyli cumy i odbijacze i podążyli do rozległego awanportu Horty. W głębi znajdują się dwie mariny i położona między nimi keja recepcyjna. Stanęliśmy grzecznie w kolejce z teczką pełną dokumentów. Pomimo, że w każdym porcie odbywają się komputerowe check-in check-out, za każdym razem odbywała się żmudna procedura wpalcowywania listy załogi. Marinero zaznaczył nam na planiku przeznaczone dla nas

miejsce przy falochronie mariny północnej. Okazało się, że stanęliśmy nie przy falochronie lecz przy zimującym tu staruszku a przy niskiej wodzie wspinanie na falochron było dla wielu z nas nieosiągalne. Wytrzymałem do rana popędzanie przez zeżloną załogę i po ósmej ruszyłem do recepcji uzbrojony w wiedzę o wolnych stanowiskach przy pływającym pomoście na przeciwko. Inny dziś marinero wyjaśnił, że te wolne miejsca należą do firmy czarterowej i nie wiadomo kiedy będą potrzebne jednak po odbyciu szeregu telefonów pozwolił nam tam stanąć.

Kolejne dwa dni poświęcone zostały lądowym wycieczkom. W poniedziałek 18.04 na przylepione do Faial krateru Montedas Mocas i Guia. Ten ostatni ma ścianę krateru otwartą na morze i od biedy mógłby stanowić schronienie dla małych łodzi, Nie jest ponieważ wulkan stanowi rezerwat przyrody. Na przesmyku między tymi górami znajduje się muzeum wielorybnictwa. Oczywiście, nie omieszkaliśmy odwiedzić słynnej Cafe Sport obwieszanej banderami i proporczykami z wszystkich stron świata. Następnego dnia bardziej ambitna część naszych załóg wyruszyła najwcześniejszym promem do Madaleny na wyspie Pico. Port nie ma miejsca na zacumowanie jachtu a jedyny spełniający w jakiejś mierze te wymagania Lajes de Pico leży bliżej wschodniego końca wyspy. Wyruszyli na zdobycie najwyższego szczytu Portugalii czyli 2300m Pico. My tą samą drogą po śniadaniu udaliśmy się do Madaleny gdzie, między innymi, odnaleźliśmy również małe muzeum wielorybów. Nasi alpiniści (może raczej piconiści?) z trudem zdążyli na ostatni prom na Faial więc nie trzeba było organizować ekspedycji ratunkowej.

W środę 20.04 odmeldowujemy się z mariny i ruszamy w stronę Sao Jorge, do Velas. Wcześniej próbowałem się skomunikować z tamtejszą mariną ale niestety, bezskutecznie więc proszę o pomoc marinero z Horty. Ten jednak, śmiejąc się, mówi, że bez obaw, w Velas jest pusto bo wszyscy rezydenci zabrali swoje jechty w obawie przed trzęsieniem ziemi. Ale możemy się nie obawiać. Wiatru na lekarstwo. Płyniemy wolniutko, rozglądając się za wielorybami. Przed nami kilka stateczków, które wywiozły turystów na podglądanie wielorybów. Nam też się wkrótce udaje się napotkać leniwie się wylegające kaszaloty. Do Velas wchodzimy 1622 bo poszukując wielorybów nawinęliśmy 25 mil. Dyżurujący hafenmeister okazuje się niesłychanie sympatycznym gościem, z ciekawością wypytuje nas o nasze spojrzenie na wojnę w Ukrainie. Spacerujemy po mieście, winko w knajpcie dla lokalsów a nawet wycieczka do ogrodu botanicznego. Zapytany kiedy było ostatnie trzęsienie ziemi spogląda na zegarek i mówi: 50 minut temu. Nie zauważyliśmy.

Pozostaje nam 135 mil do Ponta Delgada. Windy zapowiada umiarkowany, 15 – 25 węzłów wiatr z NW zatem baksztagowy. Nocka nas nie minie więc postanawiam spokojnie, postawić fokę i bez napinki pożeglować z wiatrem. Powinniśmy w Ponta Delgada być w piątek przed południem. Urze robi to samo i płyniemy obok siebie ale po jakimś czasie jednak ich wyprzedzamy. Niby jednakowe łódki ale jakoś Hera wydaje

się nieco szybsza. Jachtem steruje autopilot zwany Antosiem, wachta śledzi otoczenie. Powoli noc zapada i wiatr nieco tęższe. Idę spać ubrany na stand by.

W srodku nocy alarm. Antoś oszalał. Łódka robi co chwilę dramatyczne rufy, Fok strzela to na jedną to na drugą burtę. Przełączenie na ręczne sterowanie niczego nie poprawia. Każę wyciągnąć rumpel awaryjny z bakisty a sam odsłaniam jego gniazdo w dnie kokpitu. Trzon steru reaguje poprawnie na ruchy koła zatem pozostaje brak płetwy sterowej. Nikt nie wyczuł żadnego uderzenia ale goniące nas fale urosły już do trzech metrów a wiatr zaczął przekraczać trzydziestkę, więc uderzeń było pod dostatkiem. Może zaczepiliśmy kaszalota? Zabieramy się więc za rolowanie foka. Niestety, zaniedbanie tego w pierwszej chwili kończy się jego porwaniem i zwija się tylko jego dolna część

Odległość do Ponta Delgada to jeszcze 55 mil, więc sygnału telefonicznego ani internetowego nie ma. Urzę nas dogania i oferuje nam asystę ale rezygnuję z tego. Zatonięcie nam nie grozi zatem lepiej, żeby możliwie szybko dopłyneli do miejsca w którym uda im się wywołać armatora. Ja zasiadam do radia i z ciężkim sercem wywołuję mayday.

Po dwóch powtórzeniach odzywa się płynący w pobliżu tankowiec Jako relay wywołuje Ponta Degada. Marinero z portu wypełnie widać jakiś formularz bo kolejno wypytuje nas o pozycję, stan załogi, środki ratunkowe i jeszcze sto innych informacji. No, może nie całe sto. Łączność jest marna i odbiór pełen szumów. Wkrótce okazuje się, że w pobliżu znajduje się okręt marynarki wojennej Setubal i to on przejmuje kierowanie akcją. Podaję mu namiary na armatora ale dopiero rano udaje się nawiązać z nim kontakt. Setubal proponuje zdjęcie nas z jachtu ale skoro nie tonimy, nie akceptuję tego. Godziny mijają aż koło południa jest wiadomość, że rusza po nas kuter rybacki. Ostatecznie po południu czworo załogantów decyduje się na przesiadkę. Z Setubala przybywa rib i na rozkołysanym morzu zabiera ich do siebie. Na okręt docierają mokrzy do pasa ale tam natychmiast zaopatruję ich w suche ubrania, serwują obiad i wysyłają spać. Nawet proponują nam przysłanie obiadu ale przecież żywności nam nie brakuje.

Zapada zmrok więc zapalam wszystko co na jachcie może się świecić. Kuter dociera do nas koło 2300. Podchodzi do nas rufą obłożoną rzędem wielkich odbijaczy. W pierwszym podejściu wrzucają mi na pokład gruby strop zakończony pętlą. Obkładam go dookoła masztu. W następnym podejściu wskazuje Jose który unieruchamia strop na dziobie i wiąże go z podanym w kolejnym podejściu holem. Żadnej komunikacji z nimi bo nikt nie mówi po angielsku. Ostatecznie Jose wraca na kuter i powoli ruszamy do przodu. "Do przodu" nie jest właściwym przedstawieniem sytuacji, bo pozbawiony płetwy sterowej jacht co chwilę usiłuje popłynąć w inną stronę aż do brutalnego szaronięcia za hol. Przypomniał mi się opis Moitessiera z żeglowania

z wiatrem po wysokiej fali i wyrzucam za rufę pętlę z długiej i grubej cumy. Moja dzielna załogantka twierdzi, że łódka się nieco uspokoiła choć ja raczej nie odnoszę takiego wrażenia.

Po założeniu holu Setubal zostawia nas i wraca do Ponta Delgada. Niestety wkrótce strop, zaczepiany co chwilę o sterzącą z dziobu kotwicę, pęka. Za trzecim razem Jese odcina linkę trzymającą na dnie komory łańcuch kotwiczny o czym dowiedziałem się dopiero rano. Do portu zbliżamy się dopiero koło 1100. Z takim zygzakującym jachtem kuter nie może oczywiście wejść do poru więc na spotkanie wychodzą nam dwa wycieczkowe riby. Cumują mi do burt i taka tratwą wchodzimy do mariny. Włączam silnik co pozwala mi wyhamować przed uderzeniem w pomost. W międzyczasie Mauro, jeden z właścicieli firmy czarterowej wchodzi na pokład i dyryguje wprowadzeniem a na pomoście czekają już przyjaciele z Urze i cumują nas. Jesteśmy zmęczeni i niedospani ale krew się nie połała. Mauro wychwala nas za to, że zostaliśmy na jachcie dzięki czemu nie musiał nas szukać niewiedomo gdzie. W gruncie rzeczy, nie było powodu bym porzucił jacht.



Zdążam jeszcze na swój samolot. Dokładniej – nie swój. Z jakichś powodów eSky zaplanował mi powrót przez Porto i Lizbonę ale panienki w check-in prowadzą dłuższą chwilę gorące rozmowy telefoniczne wskutek czego przesiadka w Porto mnie omija. I tak jeszcze noc w Lizbonie więc na Okęciu lądują przed południem dosyć umordowani.

Marek Popiel